Rok III.

Nr. 7. Nr. 7.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Ogłoszenia po 1½ sgr od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 15 lutego 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

O poezji polskiéj XIXgo wieku

napisał

Dr. Adam Bełcikowski.

(Ciąg dalszy.)

VII.

W podobny sposób rozwiązuje poeta także zagadnienia polityczne. W bojach i wojnach narodów podobnie jak w walkach socjalnych są tyrani i niewolnicy, jest siła, przemoc, a z drugiéj strony słabość i uciemiężenie; jedni więc dopuszczają się niesprawiedliwości, drudzy nienawidzą ich za to. Pojednanie może nastąpić tylko w duchu miłości.

Téj myśli poświęcony jest Irydjon. Jest to Grek, który na światowładnym Rzymie chce pomścić krzywdy i upodlenie swéj ojczyzny. Wybiera do tego drogę fałszu i podstępu, a następnie miecz i pożogę. Nie osięga jednak celu. Chrześcijanie w katakombach odmawiają mu w stanowczéj chwili pomocy, bo Chrystus zabronił nienawidzić nawet wrogów i rozlewać krew. Tam gdzie Irydjon miał zwyciężyć, zwyciężają oni mocą słowa bożego, mocą duchowéj siły ewangelji. Chrześcijaństwo pokonywa stary Rzym, owłada nim, ale — wiemy to już z ogólnego poglądu poety — nie spełnia w pierwszéj dobie dziejów swojego posłannictwa; nie uwidomia się w rzeczywistości i dawne, pogańskie zasady rządzą polityką świata.

Idea sprawiedliwości — bo w gruncie rzeczy w jéj imieniu Irydjon występował — musi jednak uzyskać zadosyćuczynienie. Irydjon téż żyje przez te długie wieki drugiéj doby, jak żyje pragnienie ludzkości dojścia do szczęścia i wolności. Spełnienie tego ideału pokazuje mu poeta w przyszłości, przenosi go w drugą ojczyznę, do Polski, która ma przejść niewolę jak Grecja, ale przez którą ma się spełnić to, co było celem usiłowań Irydjona: szczęście i wolność świata. To przyrzeka mu głos boski; wybawienie narodów ma być dziełem nie zemsty, nie wojny i mordów, ale dziełem miłości zapowiedzianéj przez słowo boże, kiedy ta przejdzie w ducha ludzkości i z martwéj litery, jak dotąd, stanie się czynem.

W logicznéj analogji z poprzedniemi rozwiązuje także poeta kwestję wiary i religji. Jego wyobrażenia w téj mierze znane nam są już po części z Niedokończonego poematu i z Irydjona, ale poświęcił on nadto téj kwestji osobny utwór p. t. „Legenda.“ Mamy tu powiedziane, że kościół dawny, kościół św. Piotra (ów „kościół urzędowy“ z prelekcji Mickiewicza) w niedługiéj przyszłości ma runąć, bo był tylko abstrakcją, dogmatem, reprezentował wiarę, ale nie zastosował jéj do życia. Na jego miejsce ma powstać nowy, kościół owego „purpurowego kardynała“ z poematu tj. św. Jana, ukochanego przez Chrystusa apostoła, który kładł głowę na piersiach mistrza. W tym to nowym kościele zjawi się Duch św., pocieszyciel obiecany przez Chrystusa, którego przyjście będzie spełnieniem wieków.

W takim to czasie, kiedy świat dojdzie do ewangelicznéj doskonałości, prorokuje poeta wskrzeszenie Polski. Czas ten ma już być bliski, a za jego poprzednika uważa poeta Napoleona, torującego nowe drogi, podobnie jak Cezar przygotował świat do chrześcijaństwa i ułatwiał jego rozszerzenie się. Idea narodowości, rozbudzona w ludach przez Napoleona, wielkiego jest w tém przejściu znaczenia. Ażeby ludzkość mogła utworzyć harmonję, narody, jak pojedyncze tony w akordzie, muszą brzmieć czysto i zgodnie. Pieśnią tryumfalną téj błogiéj przyszłości jest „Przedświt.“ Z boleści

obecnych nieszczęść poeta podnosi się na wyżynę niebiańskiéj radości i wesela, widząc w objawieniu tę przyszłość narodu. Polska ma przejść w tę nową epokę świata w kształcie swym dawnym, szlachta ma iść na czele narodu, tradycja ma być zachowaną, bo przeszłość Polski uważa poeta za zgodną z myślą Chrystusa, i w Polsce widzi jedyny naród, który pojął i pielęgnował ideę ludzkości.

W rażącéj niezgodności z rzeczywistością znalazła się jednak niedługo ta pieśń światła, wesela i tryumfu. W owe czasy na emigracji i w kraju rozpoczął się ruch demokratyczny. Dotychczasowe usiłowania odzyskania niepodległości, przedsiębrane przez samą szlachtę a nie uwieńczone skutkiem, naprowadzały na myśl, ażeby do podobnego dzieła wciągnąć także i lud. Zwolennicy demokracji przynajmniéj nie przyznają, ażeby w tym ruchu było jeszcze coś innego, zwłaszcza nieprzyjazne zamiary przeciw szlachcie. Poeta jednak, jak i wielu innych, zobaczyli w téj robocie demagogję, zwiastuna socjalnéj wojny, rzezi i t. p. Ztąd powstały „Psalmy przyszłości", a szczególnie trzeci z nich „Psalm miłości", wymierzony przeciw mniemanym demagogicznym dążnościom. Poeta zaklina rodaków, aby nie kalali przeszłości, która nie znała bratobójczych wojen; przypomina zasługi szlachty, która była twórcą Polski i bez któréj nie ma narodu, i jedyne ocalenie widzi w jedności i miłości wzajemnéj stanów:

Jeden tylko, jeden cud:
Z szlachtą polską polski lud!

Nastąpił nieszczęsny rok 1846 i rzeź galicyjska. Poeta ujrzał w tém wydarzeniu potwierdzenie swego przeczucia i obaw, dowód słuszności swoich poetycznych widzeń i przestróg. Dowód to jednakowoż, jak powiemy niżéj, więcéj pozorny, niż rzeczywisty. W skutek tych krwawych wydarzeń powstały znowu dwa nowe „Psalmy" (Żalu i Dobréj woli), które pokazują najmocniejsze utrwalenie poety w jego politycznéj wierze i w natchnieniu, które mu przynosił duch jego poezji. Najwyższym szczytem tego poetycznego optymizmu, z jakim spoglądał na sprawy polityczne i rzeczywistość, jest bezwątpienia wspaniały, majestatyczny „Psalm Dobréj woli." Pomimo błędów i win w przeszłości Polski, pomimo jéj nieszczęść i cierpienia w obecnéj chwili, poeta jakby zaprzeczając temu wszystkiemu, jakby nie widząc tego, śpiewa z nietajoną radością:

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie!

bo w historji widzi tylko jedno: istnienie w narodzie ducha bożego, ktory podnosi go nad inne ludy. Doczesne losy zdaje się nic go nie obchodzą, ziemska ojczyzna znika mu z oczu, przenosi on Polskę w sfery niebieskie, duchowe, idealne i chce, ażeby ona jak Chrystus powiedziała: „Królestwo moje nie jest z tego świata." Łatwo pojąć, że drugi, inny od niego naturą poeta, mógł mu zrobić ironiczny zarzut:

Podług ciebie, mój szlachcicu,
Cnotą naszą znieść niewolę,
Ty przemieniasz ziemską dolę
W żywot rajski na księżycu.]

Co się powiedziało o słabych stronach Mesjanizmu Mickiewiczowskiego, to jeszcze z większą słusznością da się powtórzyć o Mesjanizmie Krasińskiego, doprowadzającym rzeczy do ostateczności. Wychodził on po za rzeczywistość, nie obliczał się ani z przeszłością, ani z przyszłością, stracił z oczu naturalne warunki życia i historji. Wprawiał dusze w szał, a zarazem mógł w nie wprowadzić bierność, przysposabiał je na bezbronne ofiary, które kupiły się pod sztandar idei, głosiły zasadę, ale nie brały się do pracy, do ich przeprowadzenia, bo one muszą z konieczności, siłą swoją moralną zwyciężyć, tak jak niegdyś chrześcijaństwo. Co innego jednak idea polityczna, a co innego religijna. Ta chce rozciągnąć swe panowanie nad duchem, tamta okazać swą moc na zewnątrz, gdzie właśnie napotyka opór idei przeciwnéj; musi ją więc pokonać lub sama ginąć. Wpływ Krasińskiego najwyraźniéj pokazał się w wypadkach 1861 i 62 roku, gdzie nienaturalność i brak konsekwencji w téj zasadzie na jedno wyszły. Demonstracje bierne, nabożeństwa, pieśni po kościołach śpiewane doprowadziły i doprowadzić musiały do wybuchu — co w myśli poety bynajmniéj nie leżało, czego jego program narodowy nie pragnął.

Mistycyzmowi Mickiewicza i Krasińskiego zaprzeczały wypadki i historja; lecz musiał się także i w poezji odezwać z protestem głos jakiś, jeśli ta nie miała być jednostronną i wyrażać wszystkie te prądy uczuć, które wstrząsały narodem, lub które w nim rozbudzić było można. Tym głosem protestującym był Juljusz Słowacki.

Mickiewicza możnaby uważać za syna epoki konspiratorskiéj — w poematach politycznych po za ten czas on nie wychodzi; — Krasińskiego wyhodowały czasy emigracji, gdzie się lęgły i krzyżowały z sobą rozmaite teorje wybawienia ojczyzny; Słowackiego stworzyła rewolucja, wtenczas pojawiają się pierwsze jego płody. Ten charakter chwili czynu pozostał mu na zawsze. Każdy poeta, nawet każdy człowiek ma ten czas, w którym jego duchowa istota powstaje, w którym świat najsilniéj na umysł i serce działa, i kiedy to, że tak powiem, zasiewa się w ducha idea, właśnie w tym czasie górująca, przeważna. Dalsze życie jest rozwinięciem, rozrostem tego ziarna.

Pomijam młodociane utwory Słowackiego, ale jego Kordjan powstał bez żadnéj wątpliwości z rywalizacji z Konradem Mickiewicza. Konrad był człowiekiem myśli, myślą chciał burzyć i stawiać trony, zmieniać porządek świata. Naprzeciw niego Słowacki utworzył Kordjana, człowieka czynu. Tłem poematu jest spisek koronacyjny z r. 1828. Kordjan jest motorem w téj sprawie; chce zabić cara i tym czynem zbawić Polskę. Czyn to jednak źle dobrany. Królobójstwo w walkach narodów nie prowadzi nigdy do celu; na miejscu jednego króla będzie drugi. Pominąwszy ten wielki błąd, jestże Kordjan i tak ideałem człowieka czynu? Bez wahania można odpowiedzieć: nie. Musiałby to być człowiek z żelazną wolą, zimnym a głębokim rozumem, nawet z ogromną prostotą ducha, który nigdy nie dałby się uwieść marzeniom lub fantazji; jedném słowem coś podobnego jak Kromwel, Napoleon lub Washington. Ale Kordjan żyje przedewszystkiém wyobraźnią i sercem, zapał i uczucie pchają go do działania; jest to człowiek z marzącą i wrażliwą duszą, jest to poeta Słowacki, ale nie człowiek czynu. Idzie zabić cara, a dręczy go strach, przywidzenia stają mu na drodze, i pada bez przytomności na progu, udręczony swoją wyobraźnią. Gdzież tu są przymioty męża, który czynem miałby zbawić swój naród? Jeśli ten czyn jemu samemu złym się wydawał, po co go przedsiębrał? jeśli był dobrym w jego oczach, dla czego się wahał i lękał?

Więcéj pożyteczne mogło być to, co Słowacki w wielu innych swych utworach powiadał. Był on tym poetą, który miał odwagę odsłaniać bolące rany i ujemne strony narodu. Ów Chrystus narodów, Baranek mesjaniczny, cierpiący za innych i dla innych, cokolwiek inaczéj w jego poezji wygląda. Kiedy Mesjanizm idealizował przykrą rzeczywistość i ozłacał nieraz to, co było szpetném, Słowacki nie wzdrygał się wystawiać rzeczy w całéj nagości i mówić gorzkich prawd.

(Dokończenie nastąpi).

TRZY MIESIĄCE.

Ze znalezionego rękopismu
wydał
Józef Narzymski.

(Ciąg dalszy.)

I zaślepiony, brnąłem z czystém sumieniem daléj, prawie dumny z méj ofiary i z siły nad sobą... Owszém!... lękałem się, czy jéj nie zrażam za nadto, czy nie przesadzam, czy zamiast przyjaźni spokojnéj nie wzbudzę w niéj wstrętu, i czy miasto słowa żalu, nie powie, dowiedziawszy się o katastrofie: „Dobrze zrobił!"

Myślałem, że znam kobiéty!.... Dzieciństwo!... Właśnie to moje postępowanie było może powodem nieszczęścia!... Ona przeczuła we mnie tajemnicę, ból jakiś, odgadła komedję, zrozumiała, że ukrywam w głębi jakąś ranę straszną, i to ją właśnie zaciekawiło, uniosło, porwało... Anielskie dusze bezbronne są w obec nieszczęścia...

Przybycie Izy pogorszyło sprawę... Iza psuła mi ciągle grę moją, ostrzegając Marję że gram komedję, że udaję... i rozpalając jéj wyobraźnię do wyleczenia człowieka, który kochając ją... odpycha ją przecież... do wykrycia w mém życiu jakiéjś tajemnicy strasznéj...

A jednak do ostatniéj chwili jam się nie domyślał niczego!... Jak każdy kochający prawdziwie... nie śmiałem marzyć o wzajemności... zresztą nie chciałem jéj... lękałem się jéj... nie przypuszczałem jéj... nie chciałem przypuszczać ani na chwilę, bo wtedy byłbym musiał uciec i stracić ostatnią moją rozkosz... prawo widywania jéj!... i upajania się jéj widokiem...

I tak mijały dzień za dniem... ja spokojny w sumieniu mojém, zmęczony udawaniem, nabierałem sił w jéj widoku, w marzeniach o niéj samotnych wśród uroczych nocy majowych, w serdecznych rozmowach u kolan méj matki... która także spodziewała się wszystkiego od Marji.

Pamiętałem, że chwila fatalna się zbliża, i nie bez żalu, ale spokojnie kroczyłem ku niéj, myśląc tylko o tém, żeby z czasu skorzystać, żeby się jéj napatrzyć, matki pieszczotami nasycić, napoić się powietrzem wiosenném...

Aż oto dzisiaj!... ale nie!... możnaż to opowiedzieć?....

....

O! moja Marjo!... jakże ty piękną byłaś!...

....

Dzień był śliczny... chodziliśmy w lipowéj alei, ja dziwnie smutny i rozdrażniony, Iza i Marja także niewesołe. Wszak to jutro dzień wyjazdu Marji z babką do B... Wprawdzie jest projekt, że i my z matką mamy tam jechać za dni dziesięć, ale za dziesięć dni... będzie tu żałoba i rozpacz!... Mieliśmy się więc niby zobaczyć niedługo... Ale ja wiedziałem, że po raz ostatni chodzę z nią po tym ogrodzie, i serce ściskało mi się boleśnie...

Szedłem obok Izy myśląc o tém... Głos wewnętrzny powtarzał mi ciągle, że wszystko skończone!... Gdybyż przynajmniéj te dni jeszcze kilka!... Upadałem pod bólem, żalem, rozrzewnieniem i czując że siły daléj nie wystarczą, pod pozorem zapalenia cygara zostawiłem obie dziewczyny i skręciłem w boczną, ciemną aleję wiodącą do domu... Ale skoro tylko drzewa mnie przed niemi zakryły, ból wybuchnął płaczem gwałtownym i zaledwie zdołałem rzucić się do małéj z grabiny altanki, w któréj stała ławeczka i stół kamienny...

Płakałem... ja mężczyzna płakałem... nie śmiejcie się i nie dziwcie... Słońce świeciło... drzewa okryte młodym liściem zdawały się uśmiechać, kwiaty główki swe miłośnie podnosiły ku światłu, ptaki szalały świegotem i rozradowaniem... gdzie spojrzeć radość, miłość, życie.. We mnie życie także... krew krąży szybko... pierś szeroko oddycha!... Czuję życie, jak wszystko w około... czuję je silniéj jeszcze... bo kocham... bo dusza moja, nastrojona miłością, czuje i rozumie wszystko co piękne... tam o kilka kroków biały mój anioł... a przecież...

A przecież mnie oto jednemu nie wolno czuć tego, co czują kwiaty i drzewa, ptaszki i cały świat Boży. Między mną i nią stoi grób... honor... Wirski...

Wszystko to trzeba porzucić.... opuścić... na zawsze...

Ah!... bohaterowie!... nie wstydzę się mego płaczu... Z jéj odjazdem kończyłem wszystko... Ostatnie dni kilka będą tylko wegetacją smutną... Żegnałem więc życie w chwili, gdy mi ją żegnać przyszło... Niech mówią co chcą filozofowie!... Życie w 26 roku życia, wśród wiosny, z miłością w sercu, warte łez...

Płakałem więc, a raczéj szlochałem, oparłszy twarz na obu rękach... Tak długo drażnione nerwy odpełniały zaległość, a zdawało mi się, że wraz z temi łzami i życie uciec chciało. Oh! jakże pragnąłem tego!...

Raptem, na ramieniu poczułem dotknięcie lekkie... Zadrżałem i podniosłem oczy... Przy mnie stała ona, jak istny anioł miłości... Jedną rękę, osłoniętą do połowy muślinem, położyła na mojém ramieniu, drugą tuliła bijące gwałtownie serce. Z oczu jéj płynęły wolno dwie łzy wielkie i błyszczące jak djamenty, ale oczy błyszczały niewidzianą dotąd czułością i ogniem. Olśniony, nieprzytomny, patrzałem na to zjawisko...

— Po co te łzy?... te umyślnie zadawane cierpienia?... Czy pan nie widzisz, że ja...

Zatrzymała się i oczy spuściła, oblewając się karminem...

I Bóg i ona przebaczą mi chyba, żem zapomniał wtedy o wszystkiém, żem porwał białe jéj ręce i cisnąc je do ust, wołałem namiętnie:

— O mój aniele!... Marjo!... ukochana!...

Paluszki jéj ściskały moje ręce, uśmiechnięta, rzewna, spokojna, patrzyła na mnie i szeptała:

— Uspokój się... cokolwiek cię boli wyleczę cię... będziemy szczęśliwi... oboje... tylko...

Usta jéj były tuż nad mojém czołem, czułem jéj oddech... jeden ruch jeszcze... a czoło moje byłoby pocałunkiem anioła uświęcone...

Ale w téjże chwili ów straszny sędzia, który umie oziębiać najczarowniejsze uniesienia... nieubłagane sumienie szepnęło:

— A 12 czerwca!...

Błyskawicą rzeczywistość stanęła przedemną... Oto czysta, pełna życia istota powierza swe serce, duszę, przyszłość swą skazanemu na śmierć... nachyla się w objęcia trupa sądząc, że to człowiek... A on to przyjmuje:... Hańba!... Porwałem się z przestrachem, puściłem jéj ręce i krzyknąwszy:

— Nie!... nie chcę!... nie chcę!... popędziłem sam nie wiem gdzie...

Przyszedłszy do siebie rozpacz mnie ogarnęła na myśl, co ona pomyśli o mnie!... Parę godzin chodziłem po polach, ale jednak wrócić było trzeba. Zastałem wszystkich przy herbacie... Marja nalewała ją jak zwykle, ale była dziwnie blada... Widziałem, że matka i Iza domyślają się czegoś... Szaloném wysileniem woli zdobyłem się na pożegnanie zupełnie chłodne... Ona

jednak wyciągając rękę rzekła głosem anielskiéj dobroci:

— Do widzenia... w B... Pamiętaj pan!... verbum nobile!... nic od niego nie zwalnia...

Jakiż to anioł!... po tém co zaszło!...

Sam powoziłem, żeby się uwolnić od pytań, a potém pod pozorem migreny pożegnałem matkę i siostrę. Szukając rękawiczek, w drugim pokoju słyszałem wesoły głos Izy:

— Niech mamunia będzie spokojna!... Oni zakochani w sobie szalenie... Karol dziwaczy, ale to przejdzie!... Ręczę mamuni, że się to skończy ślubem!...

Ślubem!... Oh!...

Dębowo 6 czerwca.

Dziś widziałem ją raz ostatni... i to wśród ludzi... chwilkę tylko... Oka nie zmrużyłem noc całą... Gdy pierwsze brzaski wschód bielić zaczęły byłem już w lesie... potrzebowałem porannych powiewów i rosy, by ochłodzić rozpalone czoło... Narwałem kwiatów leśnych i z tym bukietem poszedłem ją pożegnać... Przyjęła go, patrząc mi bacznie w oczy, i rzekła:

— Dziękuję panu.. kwiaty te pojadą ze mną... nim uschną... spodziewam się, że mi pan nowy bukiet przywieziesz... Do widzenia...

Do widzenia!... gdzie i kiedy?... Oh! jakże mi jéj brak było!... jak pusto... smutno... Gdyby nie biedna matka moja, skończyłbym dziś jeszcze... Czego czekać... czego więcéj spodziewać się mogę?...

Dębowo 7 czerwca.

Drugi dzień jéj nie widziałem... a przedemną tylko dni pięć!... Wszystko koło mnie jak było, a przecież mnie tęskno i smutno... więcéj jak kiedykolwiek... Dla zabicia czasu napisałem testament... Niech przynajmniéj dobry czyn okupi lekkość, która mnie nad przepaść przywiodła, i bezczynność lat młodych... Połowę majątku zostawiam Izie... drugą połowę przeznaczam na cele dobroczynne i zostawiam do rozporządzenia Marji... Chcę jéj tém dać z za grobu dowód uwielbienia... Z pół miljonem dużo łez otrzeć można, a dla niéj każda łza otarta będzie ulgą i balsamem...

Prócz tego rozdając moje pieniądze, będzie musiała pomyśleć o mnie...

Iza widząc mnie tak smutnym zaproponowała, żebym wprzód jechał do B... i urządził dla nich mieszkanie, bo dla mamy za zimno tam jeszcze...

Musiała mi się twarz dziwnie na tę propozycję rozjaśnić, bo spojrzała z uśmiechem na mamę... Rozsądek jednak mój odezwał się zaraz i odrzekłem, że nie mogę przed 13 wyjechać...

— Dla czegóż ten termin?...

— Zobaczysz... coś się stanie, dodałem z uśmiechem...

Iza zapłonęła cała. Leon zatrzymywany chorobą swéj matki pisał, że w tych dniach przyjedzie... Iza sądziła, że o jéj deklaracji mówię...

Zostawiłem ją w tém przekonaniu... i wyszedłem w pole... Poczciwa Izia ani się domyśla, co narobiła propozycją swoją. Myśl pojechania do B. wraca mi do głowy ciągle... Zobaczyć ją choć raz jeszcze, widokiem jéj uświęcić się i wzmocnić na tę drogę wieczystą i tajemniczą... oh! cóżbym nie dał za to!.. Ale nie!... po tém co się stało, nie wolno mi rozdmuchiwać ognia, który ją spalić może... Niech mnie ma za warjata!... Prędzéj zapomni... pokocha innego!...

Innego?... zkąd mi to przyszło?... Gdy ten wyraz z pod pióra mi wypadł, czułem dreszcz przerażenia i gniewu... Miałżebym być zazdrosnym?.... Ja?.... Allons donc!... Taka pretensja!... Cóż to moje prochy obchodzić może?...

Ah!... dziwna rzecz... skoro jéj nie ma, zaczynam wątpić... Umierać wątpiąc... Umierać nie wierząc w zmartwychwstanie?... rozłączać się na wieki... oh!...

Cóż?... wszak wszystko złe już się stało... jedno widzenie nie pogorszy stanu rzeczy...!

Nie!... nie!... nie!... po tysiąc razy nie!... nie powinienem jéj widzieć więcéj...

Dębowo 8 czerwca.

Jutro rano jadę do wód B. Zastanowiłem się... Ah! byłoby za okropnie nie widzieć jéj więcéj... Przecie i mnie się coś należy...

Zobaczę ją więc... zobaczę!...

A potém?...

Ha! mniejsza o to... Przedewszystkiém zobaczę ją...

Stacja kolei, 9 czerwca.

Kazałem ekstrapocztom pędzić jak szalone i oto mam przed sobą dwie godziny czasu, zanim pociąg nadejdzie...

Ah! dzień dzisiejszy strasznym był dla mnie!... Dziwię się, że włosy me nie posiwiały, że serce nie pękło... Żegnałem dziś po raz ostatni matkę i siostrę, i dach rodzinny i wszystko co mnie od kolebki otaczało, pieściło, kochało...

Oh! wy, co umieracie przytomnie, na łożu wśród rodziny, wy możecie przynajmniéj pożegnać się z nią tak, jak się na długą, może wieczną żegna rozłąkę... Wy... których przemoc lub prawo na szafot prowadzi, możecie także z dumą lub żalem uścisnąć drogich waszych i powiedzieć:

— Do zobaczenia... tam!...

Ale ja, rozstawałem się niby na dni kilka, kilkanaście najwyżéj... Jakieś pożegnanie rzewniejsze, jakieś uściski serdeczniejsze jak zwykle, byłyby zaniepokoiły matkę i tak niespokojną i instynktem przeczuwającą coś złego.

I oto, musiałem uśmiechać się prawie żegnając po raz ostatni najdroższe mi istoty...

Zamiast uklęknąć przed matką i prosić by przebaczyła, by pobłogosławiła i raz ostatni uściskała syna, którego nigdy nie zobaczy, jam, nie mogąc się zdradzić, mógł jéj ręce ucałować zaledwie i poczuć na czole, jak przy zwykłém rozstaniu, pocałunek serdeczny i łzę zaledwie jedną... Iza bo mnie wyprawiała gwałtem prawie, radośnie... wesoło... utrzymując, że w B... najlepszy jest dla mnie lekarz... Czyż przeczucia nie istnieją... wszak ona mnie kocha!...

Gdybym był zbrodniarzem, mógłbym na pożegnanie uścisnąć dłoń moich sług starych, pogłaskać moje psy i konie... Odjeżdżającemu do wód nie wolno było zrobić tego... Pierwszy objaw niezwyczajnéj rzewności byłby rozbił niepewny pokój matki...

Małoż jéj złego wyrządzam?... Niechby więc raczéj serce było pękło z tamowanego żalu, jak gdybym miał o jedną godzinę skrócić wytchnienie i spokój téj, któréj resztę życia żałobą okryję...

Oh! co taka komedja kosztuje!...

Potężne to jednak te związki rodzinne i to przywyknienie do gniazda... Sama myśl zobaczenia Marji wprowadza mnie w uniesienie, a jednak... jednak wahałem się chwilami... chciałem zostać... by te kilka dni jeszcze spędzić u siebie...

Ale lepiéj się stało, żem wyjechał. Będzie tu Leon i Alfred... Oni powoli przygotują matkę do strasznéj wiadomości... I tak wyjechaćby trzeba... Gdyby trupa mego przynieśli niespodzianie... umarłaby od razu...

Za to objechałem konno wszystkie pola, obszedłem las cały, potém wyjechałem na wzgórek, z którego objąć można może milę w promieniu, i długo, długo patrzałem na te łany okryte zielenią, poprzerzynane żółtemi szmatami rzepaku kwitnącego, upstrzone wio-

skami, przerznięte małą rzeczką... i szeroko łąką kwieciem ubarwioną. Chciałem cały ten obraz wyryć niejako w méj pamięci... Któż wié!... może ostatnie wrażenia nasze zachowujemy aż po za grób...

Przejeżdżając koło cmentarza, puściłem konia do domu, a sam wstąpiłem podumać raz ostatni na grobie ojca!... Pół godziny może spędzone na stopniach marmurowych tego pomnika, w cieniu jodeł i brzóz płaczących, tak młodych i świeżych, było dobrodziejstwem dla mnie...

Przed zamkniętemi oczyma memi przesunęła się cała młodość moja i wszystkie rozmowy z ojcem...

Zdawało mi się, że on żyje jeszcze... że stoi przy mnie, a ja mu opowiadam całą prawdę... i przyznaję się, że mi żal życia...

— To trudno — moje dziecię — honor przedewszystkiém...

Tak!... to był głos jego!... gdyby żył, byłby powiedział to samo... Chciałem go się zapytać o tajemnicę śmierci... ale nie śmiałem... Byłaż to igraszka wyobraźni, czy widzenie ducha mającego ulecieć?...

Wracając przez wieś spotykałem co chwila wracających z pola chłopów...

— Wy przynajmniéj skorzystacie na mojéj śmierci — pomyślałem patrząc na walące się chałupy.

Prosiłem bowiem Marji w moim testamencie, żeby przedewszystkiém kazała odbudować chaty w Dembowie i innych wioskach moich... Zdaje mi się, że czyste i porządne mieszkanie jest jedném z największych dobrodziejstw, jakie ludowi wyrządzić można...

I widziałem wyobraźnią Dębowo odbudowane... na miejscu drewnianych domów, domki białe, czyste, a w koło nich twarze zdrowe, wesołe, czerwone, zadowolone... cieszące się życiem... ah! ja pojmowałem dziś jaką rozkoszą jest życie... I to wszystko stanie się dla tego tylko, że ja zniknę ze świata... i połowa tego, co mnie ledwo dziś wystarcza... mnie samemu... uszczęśliwi kilkadziesiąt rodzin...

A więc dobrze że ginę i Wirski jest dobroczyńcą ludzkości...

To smutno, gdy się ktoś tak urządzi, że śmierć jego więcéj jak życie dobra przynosi... Rzeczywiście żyłem tylko dla siebie dotąd... czyli... nie żyłem...

Oh!... teraz byłoby inaczéj!... Teraz od trzech miesięcy patrząc oko w oko w głąb mego grobu, wijąc się w zimnych uściskach śmierci, zrozumiałem inaczéj życie... Wiem co ono warte... i jak smutno umierać nic nie zostawiając po sobie...

Zapóźno!...

A jednak... Dzwonek słychać — pociąg nadchodzi... Jutro rano będę już wśród obcych... pojutrze ją zobaczę... po pojutrze... finita la comedia!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Gdybym był dyktatorem.

Satyra polityczna *).

Siedziałem, po wieczerzy, w moim małym, wygodnym saloniku. Zaledwie rozpocząłem palić drugą łajkę i druga dopiéro szklanka grogu stała przedemną, kiedy usłyszałem silne kołatanie do drzwi domu a w ślad za niém ujrzałem przestraszoną Karolinę, naszą pannę służącą, wpadającą do pokoju.

— Niezmierna moc mężczyzn jest tam i pyta o pana; co mam zrobić? Pewną jestem, że salon nie pomieści nawet czwartéj części.

— To dobrze, Karolino; wpuśćże tu tę część czwartą, odpowiedziałem zdumiony tym niespodzianym napadem. Moc mężczyzn! czegoż u djabła mogą oni chcieć odemnie, Deboro?

— Pewnie z akcjami, odparła moja żona. Że też tych akcji coraz to więcej przybywa!

— Ja zaś przypuszczam, że jednemu z okrętów stojących w porcie grozi niebezpieczeństwo i że przychodzą prosić mnie o radę.

— Jeżeli tak to nie pozwalam ci wychodzić w noc podobną. Rozumiesz? — mówiła daléj Debora.

Tymczasem służąca otworzyła już drzwi i tłum gentleman'ów zapełnił salon. Przedpokój również był nimi zalany a fala ta wylewała się aż na ulicę.

— Czy pan jesteś kapitanem Rębajło? rzekł jeden ze stojących na przodzie, który zdawał się być przywódzcą tego tłumu.

Jakież było moje zdumienie, gdy bliżéj przyglądając się téj osobistości, poznałem w niéj ruchy królewskie i postawę nakazującą najznakomitszego Anglika naszych czasów, naszego pierwszego ministra!

— Pan Gladstone, jeżeli się nie mylę? odpowiedziałem. Zechciéj pan zająć miejsce.

— Zwykłem mówić stojąc, wybacz mi więc pan; zresztą bardzo nam spieszno, odrzekł pan Gladstone. Przybyliśmy z Londynu umyślnym pociągiem aby się widzieć z panem, ale pozwól mi pan przedstawić sobie przedewszystkiém moich przyjaciół: lorda Derby i lorda Westbury, oraz tego gentleman'a — pana Krzyżaka, Krzykuna— w istocie, zapomniałem jego nazwiska.

— Obywatelu Gladstone, nazywam się Krzykacz, odpowiedziało indywiduum z wytartemi łokciami, które właśnie przedstawiano — i pozwól pan abym mu przypomniał, że przywódzcy ludu nie powinniby wzajem zapominać swych nazwisk. Ja nie zapominam pańskiego. — Obywatelu Rembajło, jesteśmy szczęśliwi i dumni zarazem z zawartéj z wami znajomości.

Pochyliłem się ukłonem w odpowiedzi na wszystkie te komplementa, poczém spytałem pana Gladstone jakiéj okoliczności winien byłem zaszczyt jego odwiedzin.

— Pytanie pańskie, odparł pierwszy minister, jest bezzaprzeczenie bardzo proste, a nawet uzasadnione. Co więcéj, mogę powiedzieć, żem go się spodziewał. Przyznaję niemniéj, że na pierwszy rzut oka odpowiedź na to pytanie zdaje się być bardzo łatwą. A przecież, jak na wiele innych pytań stawianych mi w parlamencie, tak i teraz nie zdołam odpowiedzieć nie wplątując się w mgły logiki i chmury metafizyki transcendentalnéj. Jest to pytanie, które — bądź gdy się zapatrujemy na samo założenie, z którego było ono postawione, bądź gdy zważymy niezmierną ciekawość, która je zrodziła, bądźto wreszcie jeśli weźmiemy sam fakt naszéj tu bytności o tak spóźnionéj godzinie, lub, co więcéj jeszcze, odległe a ledwie określone skutki, zależące od tego faktu, bądź wreszcie odpowiedź, jaką mi się dać może uda — mówię: może, bo nie śmiem obiecywać odpowiedzi pewnéj i stanowczéj — ale którą może będę mógł dać szanownemu... — przepraszam, dać panu, — jest to, jak powiadam, pytanie, które

*) Przekład ten z angielskiego „Saint-Paul Magazine" podajemy jako charakterystyczny przykład humorystyki albiońskiéj. (Przyp. Red.)

uczyni wyjaśnienia moje ciemniejszemi jeszcze, niż są zazwyczaj. Teraz wreszcie, aby zachować w téj materji pewien porządek...

— Oh! panie Gladstone, rzekłem przerywając, nie zadawaj sobie pan tego trudu, jeśli to tylko nie jest konieczne. Wszystko, o co prosiłbym ogranicza się na tém, abym mógł wiedzieć, czém mogę panom służyć.

— Panie, to nie jest trudem dla mnie, to prawdziwa przyjemność przedstawić panu po szczególe i drobnostkowo... Lecz przejdźmy do podziału pierwszego pańskiego pytania, zanim przystąpię do rozbioru następnego. I ręczyć mogę, że uczynię to zwięźle o tyle, o ile to będzie w mej możności. Zaszczyt więc — jest to wyraz którego pan użyłeś — aczkolwiek określenie zaszczytu czy honoru jest zazwyczaj w najwyższym stopniu kłopotliwe, przecież ktoś, który wychodząc ze stanowiska subjektywnego bliżéj określa honor, nie zawsze bywa w błędzie...

— Potrzeba mu będzie najmniéj godziny czasu, aby mógł sprawę swoją przedłożyć, zawołał pan Krzykacz wysuwając naprzód wątłe swe i drobne ciało i przybierając postawę pewnego siebie mówcy. Bracie Gladstone pozwól mnie, pozwól człowiekowi z ludu przemówić do wybrańca ludu. Obywatelu Rębajło, żądasz wyjaśnienia przyczyn téj manifestacji. — Panie, przyczyną tego objawu są własne twe czyny, twoje wielkie, chwalebne czyny — czyny, które sprawiają tak potężne przewroty, i o których dowiedział się lud angielski. Dowiedzieliśmy się, panie, z radością, jaką odwagę, śmiałość, energję, jaki zapał rozwijałeś pan we wszystkich częściach mieszkalnego świata i zawołaliśmy: „Oto człowiek!“ co mówię? zawołaliśmy: „To nasz człowiek!“ (Oklaski). Obywatele, lud przemożny znużył się już ową arystokracją nadętą pychą, tém niewolnictwem, które go przygniata. Panie, wzrok Anglji padł na ciebie, ona woła cię po imieniu: „Rębajło! Rębajło!“ Nie odpowieszże pan na to wezwanie!... (Ostatnie te słowa wymówione zostały głosem patetycznym i dom zadrżał od grzmotu oklasków).

Na przekór wymowie pana Krzykacza i objaśnieniom szczegółowym pana Gladstona, nie więcéj wiedziałem o celu ich bytności, niż na początku. Lord Derby spostrzegł moje osłupienie i rzekł: „Jednem słowem, kapitanie Rębajło, Londyn jest wzburzony, odbyła się tam rewolucja, która dzięki umiarkowaniu pana Gladstone zakończyła się bez rozlewu krwi. Pan Krzykacz i jego przyjaciele stali na czele ruchu i jednozgodnie ogłoszono pana wszechwładnym dyktatorem na sześć miesięcy. Przybyliśmy tu umyślnie po to, aby pana skłonić do przyjęcia tego dostojeństwa. Pan Gladstone reprezentuje królowę i izbę niższą, lord Westbury i ja przedstawiamy izbę wyższą, a pan Krzykacz — wszak dobrze powiedziałem — pan Krzykacz uosabnia sam siebie i swoje szaleństwa, jak sądzę.

— Obywatelu Derby, pan Krzykacz przedstawia miljony Anglików, które wy depcecie nogami, odparł cierpko drobny człowieczek.

— Dyktatorem?... powtórzyłem w zamyśleniu. Dobrze, moi panowie, ale to zbyt nagle. A Jéj Królewska Mość — całe życie oddany byłem Królowéj i konstytucji — cóż na to Jéj Królewska Mość?

Z ust pana Gladstone dowiedziałem się, że królowa całém sercem przychyla się do mojéj dyktatury; od pana Westbury dowiedziałem się, że izba wyższa w swéj, jak ją przywykliśmy nazywać, mądrości, nie widziała w téj mierze żadnych przeszkód, a że zgoda na tym punkcie była równie jednomyślną jak głęboką: „Panowie, rzekłem, dziękuję wam, i jakkolwiek wiem, że moje zadanie trudném będzie niezmiernie, przecież dla dobra ogółu, sądzę. że mi nie wolno się uchylać. Odwagi więc! nawa państwa jest jeszcze dość silną, by wypłynąć na pełne morze; niejeden już okręt uszkodzony zdołałem szczęśliwie wprowadzić do portu. Panowie, przyjmuję!

Hurra! on przyjmuje, hurra! takim był jednogłośny okrzyk, którym rozbrzmiał salon, który następnie rozległ się przed domem i który przez noc całą powtarzały wszystkie echa ulic. Wieść ta tak ważna natychmiast przesłaną została do Londynu, zkąd ją telegraficzne druty całemu podały królestwu, i — Anglja odetchnęła.

Nazajutrz rano byłem jeszcze w łóżku, gdy mnie zawiadomiono o odwiedzinach pana Krzykacza, który chciał wejść koniecznie. Było postanowioném, że wszyscy razem powrócić mamy do Londynu, o szóstéj.

— Obywatelu Rębajło, przebacz mi mój napad, rzekł widząc, że obecność jego mnie zadziwia. Gdy człowiek przed chwilą przyodział swego przyjaciela najwyższą władzą nad całém brytańskiém państwem, sądzę, że ma prawo uwolnić się w obec niego od czczych form etykiety. Chciałem panu powiedzieć, że nasz komitet spodziewa się po nim, iż służyć będziesz ludówi, rządzić będziesz w imię ludu, jako wybrany przez lud i dla ludu; w przeciwnym razie władzy téj będziesz pozbawiony.

— Wasz komitet? spytałem. Pamiętaj pan, że to dla mnie rzecz całkiem nowa.

— Tak obywatelu, komitet pięciu, który przedstawia stowarzyszenie międzynarodowe wszechświata, i który jest twórcą sławnéj naszéj rewolucji. Myśmy cię wznieśli panie do tego stopnia potęgi po to, abyś urzeczywistnił nasze plany.

— Myślałem, że moja dyktatura będzie nieograniczoną, ale jak widzę, majtek stojący na tyle okrętu odbiera tu tylko rozkazy od tego, który stoi na przedniéj jego części. Czy nie tak? — Ale zobaczmy jaki to jest wasz program?

— Panie, poczytuję sobie za zaszczyt to, że mnie wypadło ci go przedstawić. Sądzimy, że, jeżeli na nieszczęście dźwigasz pan dotąd jeszcze jarzmo przestarzałych przesądów, zdołasz się z nich otrząsnąć niebawem i że wkrótce staniesz na jednéj z nami wysokości. Liczymy na to, że pan równouprawnisz wszechwzględnie wszystkich ludzi, zwłaszcza zaś robotników. Liczymy na to, że silną nogą zdepcesz pan jadowite plemię pastorów, właścicieli dóbr i kapitalistów, że zniesiesz owe stałe wojska, pochłaniające majątki i wysysające krew biedaków, że zgładzisz z powierzchni ziemi biedę, zbrodnię i nędzę.

— To sporo tego wszystkiego, panie Krzykaczu; czy na tém koniec?

— Przepraszam, to dopiéro nasz program jawny, oficjalny. Ale obadwaj, kapitanie, jesteśmy ludźmi, co świat znają. Nie potrzebuję ci więc dodawać, że komitet spodziewa się po panu przysług prywatnych. Liczy na to, że będziesz pan działał na jego korzyść, ile razy sposobność się nastręczy.

— Bezwątpienia, odpowiedziałem, wszelkiemi siłami pracować będę dla dobra całego narodu.

— Ja mówię o nas; czyż o nas będziesz pan pamiętał?

— I! jeśli przedstawiacie internacjonał, to nie ma obawy abyście pozwolili o sobie zapomnieć.

W godzinę po téj rozmowie byliśmy na drodze do Londynu; wszystko już było przysposobione na świetne dla mnie przyjęcie. Nigdy jeszcze dotąd stolica nie objawiła podobnéj radości; dzieje przyszłości opiszą wam te chorągwie, te tłumy ludu tłoczącego się na ulicach, w oknach, na dachach nawet, — tę muzykę i strzały armatnie, które witały jego excelencję Ryszarda Rębajło, dyktatora, przybywającego w mury stolicy Wielkiéj Brytanji.

Skoro przybyliśmy do stacji Ludgate-Hill, rozentuzjazmowane tłumy wyprzęgły konie od mego powozu

i ciągnęły go aż do mego pałacu, gdzie otrzymałem liczne adresa z rąk lorda majora i innych władz krajowych. W odpowiedzi na ten zapał ogólny następującą miałem mowę: — ponieważ zaś jest to pierwsza moja mowa, sądzę, że powinienem ją tu dosłownie powtórzyć.

„Lordowie i panowie, jestem nad wyraz wzruszony, zarówno niespodzianém mojém wyniesieniem na najwyższą władzę państwa, jak serdeczném, pełném zapału przyjęciem, jakiego od was doznałem. Będę się starał wszystkiemi siłami usprawiedliwić wasz wybór i wasze do mnie zaufanie, i aby wam dowieść od téj zaraz chwili mojéj wdzięczności, wezmę na siebie niebezpieczną i niewdzięczną rolę przyjaciela szczerego i wykażę wam wasze ujemne strony.

„Od lat wielu jedyną waszą ambicją są bogactwa. Brudne zachcianki i niezmierne powodzenie sprowadziły te konieczne skutki. Wyższe warstwy waszego społeczeństwa są samolubne i pogrążone w wybrykach zbytku; nazywają bohaterstwo dziwacznością, a wszelkie szlachetniejsze popędy obarczają nazwą złego smaku. Średnie warstwy wasze są służalcze, obłudne, nieuczciwe, niższe zaś klasy chcą używać bez pracy i nie znają wyższéj rozkoszy nad szynkownię i piwiarnię.

„A co najlepsze, to, że choć oddani wszelkim małostkom, zachwycacie się bezprzestannie sobą, że przejęci jesteście nieprzerwanie podziwem dla waszych wielkich czynów. „Cudowny wiek XIX!“ wołacie bez końca; jak gdyby koleje żelazne stały za duchy szlachetne, jakby telegrafy stanowiły cnotę. Wasi malarze zaprzedają swoje zdolności tworząc tylko niemoralne błazeństwa, bo wy nic innego nie pojmujecie; a gdy jeden z waszych mężów stanu powie wam, że pierwszy lepszy artykuł wstępny Times'a sam jest wart tyle, co całe dzieło Thukydidesa, wy mu wierzycie naiwnie. — Wierzcie mi, że wasza wielkość jest czczém słowem, które rozpryśnie się przy pierwszém pchnięciu bagneta.

„Trzeba nam zwinąć żagle naszego okrętu, naprawić go, oczyścić i ulżyć ciężaru. A skoro tego dokonam, zrzeknę się naczelnictwa z sumiennem przekonaniem, żem dopełnił méj powinności, dając mu możność wypłynięcia na pełne morze“.

Uszczęśliwiło mnie przyjęcie, jakiego słowa te doznały, nie spodziewałem się podobnego wrażenia, ale spostrzegłem również, że każdy z moich słuchaczy zastosowywał do swych sąsiadów moją satyrę. Po téj przemowie, otoczony nieprzeliczonym tłumem, przybyłem do pałacu Buckingham, który mi był wyznaczony na rezydencję. Jéj Królewska Mość odpłynęła dziś rano na okręcie Balmoral, życząc mi powodzenia.

Pan Krzykacz, którego wszystkie rady należy brać pod ostrą rozwagę, udzielił mi przecież jednéj, którą umiałem ocenić. Polecił on mi zająć się żywo kwestją finansów, i ranek też dnia następnego znalazł mnie w banku Angielskim. Zastałem tam pana Lowe, z zakasanemi rękawami, zajętego przeliczaniem skarbów narodowych.

....

— Telegram od księcia Bismarcka przyszedł w téj chwili. Obawiam się, czy treść téj depeszy nie jest zbyt wielkiéj doniosłości.

— Ah! lord Granville, jeśli się nie mylę. Bardzom rad, że pana tu widzę, milordzie; przybyłeś w sam czas na filiżankę kawy: naprzód śniadanie, potém sprawy.

— Obawiam się, czy kłopoty nie odjęły mi apetytu, odpowiedział. Zbliża się bardzo ważne przesilenie. W City mówią już o nieporozumieniach z Niemcami, a papiery spadły o 10 na 100. Strach paniczny panuje na giełdzie, zapewniam pana.

— Cóż z tego, to właśnie sposobna chwila do kupna, o ile mi się zdaje. Co do mnie, trudno by mi było rządzić Anglją bez śniadania. Czy mogę panu służyć szklanką piwa?

— Przebacz mi pan moją obawę, drżę na samą myśl, czy to właśnie nie system przyjęty przez Waszą Excelencję względem naszych traktatów z zagranicą jest powodem tego nieszczęścia.

Zapomniałem tu powiedzieć, żem oznajmił postanowienie zerwania wszystkich traktatów, którymi nasi przebiegli praojcowie zmuszali nas popierać wszystkie zgniłe państwa Europy i zabezpieczać niepodległość małym państewkom. Uważałem, że z naszéj strony dość było płacić długi przodków, ale wprowadzać w życie ich przestarzałe idee, do tego już nie byliśmy obowiązani. Korzyść tylko, mojém zdaniem, winna być motorem pokoju lub wojny, i nie miałem bynajmniéj ochoty kierować się w téj kwestji staremi układami. Ale nie pojęto mojéj zasady, ani moich prawdziwych uczuć. Torysowie mówili o hańbie narodu i t. d.; znacie dobrze słowa i melodję téj piosenki; a na kontynencie szeptano sobie do ucha, że Anglja cierpi nowy napad pokojowości.

— A teraz, rzekłem, gdy mamy już wytknięte zasady, gdy polityka nasza stoi na pewnéj podstawie, czy nie zapalisz cygara, milordzie? — Dobrze! więc przejrzyjmy telegram. Ah! jakaż zwięzłość! niezbyt uprzejma istotnie! Otóż co zawiera:

Książę Bismarck do dyktatora Wielkiéj Brytanji.

„Germanja potrzebuje większéj przestrzeni wybrzeży morskich — potrzeba nam Danji. Dano już rozkaz naszym wojskom podsunięcia się w przeciągu trzech dni pod Kopenhagę. Sądzimy, że Anglja nic nie ma przeciw temu?“

— Panie! ależ to niesłychanie ważne, ależ to strasznie groźne! wołał lord Granville przebiegając pokój, i gdyby mi wolno było wypowiedzieć moje zdanie, zdanie człowieka, który ma wiele doświadczenia w tym względzie...

— Niczyje zdanie nie może mi być tak cenném, milordzie.

I biorąc pióro, zabierałem się pisać pod jego dyktandem.

— A więc, podjął mój gość, odpowiedziałbym niezmiernie grzecznym wyrazem zdziwienia. Jeżeli odpowie, znów sprobowałbym ofiarować mu coś innego. Jeśliby nie ustąpił, raz jeszcze odważyłbym się na pokorne przedstawienie, a, jeśliby się i to jeszcze nie udało, raz jeszcze zdobyłbym się na protestację pełną grzeczności. Przywiedź go pan tylko do bezustannego telegrafowania. Nie ma jak cały szereg telegramów! Zmuś go pan do ciągłych depesz telegraficznych, a jesteśmy ocaleni.

— Wybornie, milordzie, przewybornie, odparłem. Sekretarzu, wyślij te dwa telegramy. Dobrze, ale jeśli pan Bismarck nie uwzględni zupełnie naszych protestacji?...

— Ah! wtedy... w istocie, nie wiem co zrobiłbym wtedy. Zdaje mi się, że rozpocząłbym na nowo moje poprzednie ewolucje, bawiłbym się naprzód w zdziwienie, następnie zaś powtórzyłbym wszystkie te sposoby, o których poprzednio mówiłem, z tą wszakże różnicą, że teraz użyłbym więcéj jeszcze grzeczności, niż za pierwszym razem. Jeżeli i teraz jeszcze nie doszedłbym do celu, ha! wtedy trudno! trzeba ustąpić z całą grzecznością wszakże. Jest to źródło niewyczerpane.

— Od tego właśnie zacząłem. Możesz pan przeczytać moją odpowiedź, jeśli ci to sprawia przyjemność, odrzekłem ze śmiechem podając mu moją depeszę. Sądzę, że w téj chwili jest ona już w Berlinie.

Lord Granville wziął papier i czytał:

Dyktator Wielkiéj Brytanji do księcia Bismarcka.

„Anglja nie sprzeciwia się bynajmniéj pańskim zamiarom. Wydano rozkaz wyruszenia téj nocy trzydziestu okrętom pancernym, aby wam służyły za przewodników.“

Mój gość mruczał pod nosem na znak niezadowolenia.

— Ależ Wasza Excelencjo, rzekł, czy pan nie uważa, że depeszę tę można sobie wytłomaczyć jako wypowiedzenie wojny!

Rozśmiałem się i odpowiedziałem: — Nie wiem, jak ją sobie pan Bismarck wytłomaczy, ale wiem, że chcę wojny, jeśli on popełni tę nikczemność. Wierz mi, milordzie, życie jest zbyt krótkie, aby je rozdrabniać na depesze i telegramy. Lepiéj od razu i szczerze wypowiedzieć, czego się chce i ponieść następnie wszystkie konsekwencje, jak na wielki naród przystało. Ale otóż, jeśli się nie mylę, odpowiedź księcia na moją depeszę. Szybko idzie praca w ubiegającym bezpowrotnie czasie. — Tego się spodziewałem, to mnie zupełnie zadawalnia.

„Książę Bismarck wyraża swój żal głęboki Jego Excelencji Dyktatorowi Wielkiéj Brytanji.

„Pierwszy mój telegram był tylko pomyłką niezręcznego urzędnika. Niemcy nie mają nieprzyjaznych zamiarów względem Danji na teraz; — czekać będziemy na powrót pana Gladston'a do władzy.“

Tak się rozpoczęła i zakończyła zarazem komplikacja w polityce zewnętrznéj, jedyna, jaką miałem podczas mojéj dyktatury. Jeżeli mówię tu o niéj, to wyłącznie jako o próbce systematu, który radbym widzieć zastosowanym przez Anglję w jéj zewnętrznych stosunkach. To sobie przyznać mogę, że powodzenie zjednało mi niesłychaną popularność. Wielkie dzienniki paryzkie oznajmiły swym czytelnikom, „że wiadomém im było z pewnych dobrze poinformowanych źródeł, iż w Anglji zuchwały Palmerston, po długiém usunięciu się od rządów, powrócił znów na widownię polityczną i jest w jak najlepszém zdrowiu.“

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD LITERACKI.

Paszkowskiego generała „Dzieje Tadeusza Kościuszki, pierwszego naczelnika Polaków.“ 1872. Kraków, w druk. uniwers. Jagiell. — na składzie u D. E. Friedleina.

Od saméj kolebki przyzwyczajeni czcić imię Tadeusza Kościuszki, uważamy go za postać legendową, po za donioslością wszelkiéj krytyki.

To też rozbierając powyżéj przytoczone dzieło, nie zamierzamy dotknąć się owéj aureoli, którą naszego bohatera naród od blisko stu lat otacza; — wiedzeni przecież powodami, które każde gorące i uczciwe serce Polaka odgadnie, przystępujemy do skreślenia niektórych uwag, jakie nam nasuwa dzieło generała Paszkowskiego.

Naród polski zawiązując się w konfederację r. 1766 w Barze, powstał zbrojnie po raz pierwszy przeciw wpływom rozgaszczających się w kraju cudzoziemców; drugiém powstaniem było Kościuszkowskie r. 1794; trzeciém r. 1831, a czwartém r. 1863; — wojen napoleońskich i rewolucji w Poznańskiém r. 1848, wywołanych okolicznościami zewnętrznemi, nie podciągamy pod kategorję powstań narodowych, aczkolwiek, w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, żadne z wyliczonych poprzednio na tę nazwę nie zasługuje. W tych wszystkich bowiem wysileniach zbrojnych powstawały tylko jednostki, — jednostki ginęły śmiercią bohaterską lub męczeńską, — jednostki pędzono na Sybir lub Kaukaz; — naród cały nigdy w nich nie brał szczerego udziału; większa jego część albo była obojętną i bezczynną, albo też wbrew przeciwną uwolnieniu się z pod jarzma cudzoziemców. Rozdwojenie zaś, które jak niczém nieprzebłagana klątwa na nas ciąży aż po dzień dzisiejszy, było jedyną przyczyną ciągłych klęsk i niepowodzeń, — przyczyną stuletniéj niewoli i powodem, że dzisiaj w poczcie istniejących narodów prawie nic nie znaczymy a w obec polityki rządów opiekuńczych nie zdolniśmy żadnym stanowczym zaważyć ciężarem.

Dobijający się z bronią w ręku o swoją niepodległość naród powinien na dane hasło stanąć jak jeden mąż, a że taka solidarność w 20 miljonowym narodzie jest prawie niemożliwą, trzeba nam było zawsze dążyć do tego, ażeby przynajmniéj większą i lepszą część społeczności naszéj ku temu usposobić. Téj dążności w dziejach naszych trudno się dopatrzeć; — przeciwnie, gorsza część narodu zwykła przeprowadzać swoje zasady i zamiary kosztem owych jednostek, o których właśnieśmy wspomnieli.

I tak się stało podczas powstania Kościuszkowskiego. Naczelnik wzywał do broni, naczelnik rozsyłał odezwy, któreby były mogły poruszać kamienie, a które tylko poruszały jednostki, bo odezw tych mało komu czytać się chciało, — bo wielu było takich, którzy czytać nie umieli. Pod takiemi warunkami powinien był naczelnik od razu się przekonać, że gdy odezwy jego nic prawie nie skutkowały, trzeba mu było innych się chwycić środków.

Generał Paszkowski nie stawiając tego żądania w swoich „Dziejach“, ogranicza się na przytaczaniu i tłomaczeniu słów i odezw naczelnika. — Dawnemu towarzyszowi i przyjacielowi Kościuszki, którego autor w długoletniém pożyciu nauczył się czcić i szanować, nie bierzemy tego za złe. Od dzisiejszéj przecież krytyki pragniemy się dowiedzieć, jakich to środków naczelnik się był powinien chwycić, by powierzonemu sobie narodowi byt i niepodległość przywrócić, — oraz i dla czego ich nie używał w celu przeprowadzenia swoich szczytnych zamiarów?

Drugie zapytanie możnaby zbyć łatwą i dogodną odpowiedzią: Naczelnik sądząc po sobie o całym narodzie, nie przypuszczał nawet, by większa część współczesnych Polaków nie pragnęła, również jak on gorąco, zupełnego oswobodzenia ojczyzny, a niepowodzenie broni powstańczéj przypisywał jakim innym, nieznanym nam dostatecznie przyczynom. Nad pierwszém zaś zapytaniem niech nam wolno będzie nieco dłużéj się zastanowić.

Skoro naczelnika zawodzą półśrodki, co bystrości jego i przytomności ujść nie powinno, ucieka się on do środków, które niechybnie do zamierzonego prowadzą celu.

Skoro więc odezwy nie skutkowały, trzeba było tłumy poruszać i porywać oddziaływającemi na zmysły środkami, karać niechętnych i obojętnych, w miastach dzwonić na trwogę i wyprowadzać mieszkańców uzbrojonych w kosy, piki, topory, młoty i t. p. — po wsiach krucjaty wywoływać i prowadzić na mniejsze oddziały nieprzyjaciela, któremu, tępiąc go wszędzie, gdzie się tylko pokaże, trzeba było nieustannie przypominać, że

nie wolno bezkarnie najeżdżać ziem sąsiednich.

Ale dobrze znał nieprzyjaciel rozkład upadającego narodu i dobrze wiedział, że za jego pomocą Polacy sami się pochłoną, — że środków powstańczych nie użyją, — że w wielu nawet miejscach chętném okiem na niego spozierać będą.

W takim stanie rzeczy Kościuszko objąwszy naczelną w kraju władzę, krępowaną królem i radą najwyższą, nie chciał, czy też nie umiał się pozbyć téj przeszkody, z jaką w wykonywaniu władzy absolutnéj koniecznie spotykać się musiał. Król obok naczelnika był anomalją, którą generał Paszkowski stara się tłomaczyć w sposób następujący: „Póki jednak — pisze — naród wolnie i prawnie nie postanowił o królu inaczéj, odjąć mu władzę i wpływ można było i należało, lecz godność i winne jéj uszanowanie zostawić i ubezpieczyć, tém słuszniéj, że konstytucja 3go maja nienaruszoną w swéj powadze zostawała i tém opatrzniéj, że na niéj samėj opierała się prawość powstania i wszystkich onego działania.“

Naszém jednak zdaniem nie wypadało pytać się w téj mierze narodu, który powierzając najwyższą nad sobą władzę naczelnikowi, tém samém już zrzekał się „postanowień wolnych i prawnych.“ — Odjąć zaś królowi władzę i wpływ, zostawiając go spokojnie w jego stolicy i otaczając go należną „godnością i uszanowaniem“ — w stanie tak wyjątkowym nie można tego żadną miarą z dyktaturą godzić. Autor przeczuwając, że króla trzeba było ograniczyć, nie wspomina nic o środkach, jakich w tym celu używał naczelnik. Pobłażliwość generała Paszkowskiego uderza nas tém bardziéj, że Stanisław August, który wedle własnego zdania jego (str. 9) „zostawszy królem przeciwko woli narodu, z podeptaniem praw Rzeczypospolitéj, za pomocą najgorszego nieprzyjaciela ojczyzny, jeżeli chciał dobrze jéj uczynić, był bezrozumnym; jeżeli nie chciał, niegodziwym; jeżeli utrzymać się spodziewał na tronie, lekkomyślnym; jeżeli się nie spodziewał, szalonym; zawdy zaś nikczemnym królem, wyrodnym Polakiem i niecnym człowiekiem być musiał...... “

Naczelnik cierpiąc więc obok siebie takiego, jakiego nam autor przedstawia króla, Polaka i człowieka w osobie Stanisława Augusta, popełnił wielki błąd polityczny, który wszystkie szlachetne przymioty jego żadną miarą usprawiedliwić nie mogą, zwłaszcza, że myśl porwania króla powstała już była po bitwie pod Dubienką. „Myśl ta, — pisze w téj mierze autor (str. 39) — tém podobniéj pochodzić mogła od Kościuszki, że on jeden wówczas okazywał się być jéj zdolny, i że ją żwawo popierał jako jedyny środek ocalenia rzeczy, przez uwolnienie króla od niegodziwego obowiązku i odjęcie pochopu do domowéj niezgody.“ — Wówczas mogłoby było porwanie króla uchodzić za zbrodnię stanu, po objęciu zaś naczelnéj nad narodem władzy stawało się koniecznością w obec celu powrócenia niepodległości ojczyzny.

Trudno dzisiaj obliczyć skutki tego błędu politycznego a niebezpiecznie chcieć naczelnika za to pociągać do odpowiedzialności; autor zaś tak jest przejęty wielkością i czystością duszy Tadeusza Kościuszki, że nic zdrożnego nie upatruje w postępowaniu bohatera swego.

Nie z tą samą jednak pobłażliwością ocenia on i sądzi współdziałające w owych czasach osobistości. Przekonaliśmy się już o tém z przytoczonego powyżéj ustępu, dotyczącego króla Stanisława. Wyjąwszy Henryka Dąbrowskiego i księcia Poniatowskiego, uważa autor prawie wszystkich ówczesnych generałów za niedorostków i niedołęgów; — o Zajączku n. p. pisze na str. 98: „Usposobienia wojenne tego generała zbyt były drobne, lecz stopień wyższy i starszeństwo, a stateczność tém większa na pozór przez upór, im słabsza w nim dusza, zawdy na obecnych zewnętrznych powodach opierać się musiała, by się nie zgubiła.“ — Działanie Hugona Kołłątaja nie popierając dostatecznemi dowodami, wystawia autor w niekorzystném i bodaj w niewłaściwém świetle, — przypisując mu zapadłe w Warszawie wyroki na Kossakowskim, Zabielle, Ankwiczu i Ożarowskim, mówi na str. 144: „Kołłątaja zamiarem było wygubić z królem wszystkich panów.“ „Stronnicy jego szli daléj i rozciągali wyrok na wszystkich, coby im przeciwni byli...“ Jednym pociągiem pióra nie da się skreślić postać Kołłątaja, który w chwilach stanowczych wahając się częstokroć, odsłaniał słabą stronę swego charakteru; — półśrodkami bowiem śmiertelnie chorego do zdrowia przywoływać nie można. — O Czartoryskich w ogóle, a o księciu Adamie w szczególe odzywa się autor oględnie i pobłażliwie; po tém jednakże, co Henryk Schmitt i inni wypowiedzieli o Czartoryskich, sąd generała Paszkowskiego nie wytrzyma krytyki.

(Dokończenie nastąpi).

TEATR.

Bogaty i dobrze wybrany był repertoar ubiegłego tygodnia. Nie licząc składanego niedzielnego spektaklu wystawiła dyrekcja „Mazepę“ Słowackiego, „Córę piekła“ R. Kneisla, „Pannę de Belle-Isle“ Dumasa (ojca) i „Fiaminę“ M. Ucharda.

W obec tego materjału sprawozdanie ograniczyć musimy do dwóch średnich sztuk, tém bardziéj, że pierwsza znaną jest powszechnie i wszechstronnie, ostatnia zaś była już graną w bieżącym sezonie.

Komuż z łaskawych naszych czytelników obce są owe ohydne, niestety liczne postacie rycerzy przemysłu, obojéj płci, dla których honor, sumienie, cześć drugiego, patrjotyzm a nawet wiara nie są niczém inném, jak przedmiotem handlu? Z rozlicznych kategorji tych nędznych kreatur, prowadzących swe rzemiosło na wszystkich szczeblach społecznego porządku, wybrał Kneisel do stawienia pod pręgierz tę, która wyzyskując ku swym celom święte każdemu zacnemu człowiekowi praktyki religijne, jest właśnie najwstrętniejszą.

W komedji „Córa piekła“ wiernymi nader przedstawicielami wspomnianéj kategorji są: Dorota Bernack i Ferdynand Warnberg. Bezecne życie jest przeszłością obojga, ich teraźniejszością walka o byt — którą jednak ze stanowiska domniemanéj pobożności ostentacyjnie potępiają — ich celem, ograbienie starego barona Kostau. — Wziąwszy sobie do pomocy, jako bezwiedne narzędzie, uczciwego kandydata teologji Józefa, dowiedziono starcowi, że żona jego i córka dawno już zmarły i opętano go tak gruntownie, że ten oddany fanatyzmowi zostawia zarząd i rozporządzalność znacznym majątkiem uznaniu Doroty. Łotrzyki są już niemal u kresu, gdy nieprzewidziane przybycie córki barona — Klary i byłego kochanka awanturnicy Doroty, spycha ich na dawne stanowisko — pomiędzy fusy społeczne.

Taką jest w paru słowach treść komedji, napisanéj żwawo, interesująco — zalecającéj się wybornym pomysłem, lecz szwankującéj dolegliwie w artystycznėm wykonaniu, a głównie w zasadniczym tonie całości i pojedynczych charakterów. Widno aż nadto, że autor albo zaabsorbowany zbytecznie tendencją utopił w niéj

artyzm, albo téż nie zna zupełnie osób i prawideł wyższego towarzystwa, pośród którego odbywa się i, stósownie do założenia, odbywać się powinna akcja jego utworu. Nie wzmiankując już owych scen ludowych na pokojach pałacowych, owéj akcji parobczaków z kijami w ręku, zasadzonych w bibljotece barona (deutsche Prügelei), ciekawi jesteśmy w jakiéj to sferze der deutschen Gemüthlichkeit rekrutował autor swoje postacie? Pojmujemy jeszcze taką Klarę i wychowaniem tłomaczymy jéj silnie huzarski zakrój, ale ten baron Kostau? To istny Schultże lub Müldaur — lub coś w tym guście od rondla i piwa. A ta pani Bernack-Patrocinio? To przecież żywcem odfotografowana klucznica. A siostrzeniec barona, pan v. Warnberg? Wszakżeż to uderzający typ tego czegoś, co w jedynie ucywilizowanym języku nazywa się verbummelter Bruder Lüderlich, nie zaś w zbytkowny sposób zbankrutowany gentleman. Słowem tak nad całością jak nad częściami składowemi panuje piwna atmosfera, cechująca znaczną większość niemieckich komedji, dowodząca jasno, że autorowie ich w ogólności, a p. Kneisel w szczególności nie zajrzał nawet przez dziurkę od klucza do salonów, które usiłuje przenosić na scenę. Szkoda, bo temat wyborny i godny lepszego losu. — „Córa piekła“ w tłomaczeniu p. St. Sczanieckiego daną była na benefis p. Matyldy Bolechowskiéj i doznała świetnego przyjęcia, do którego przyczyniła się w wysokim stopniu poprawna gra występującego personału.

O grze saméj beneficjantki (Klara) pochlebne tylko dać możemy świadectwo. Pani Grabińska (Bernack) i p. Molski (Warnberg) stworzyli dziwnie trafne, do złudzenia prawdziwe typy dwojga nikczemnych świętoszków, zupełnie dobrym był p. Moszyński (br. Kostau) a istotnie po mistrzowsku wywiązał się ze swego zadania p. Grabiński (Józef). Wyczerpująco wykonania ról traktować nie jesteśmy w stanie. Autor nakreślił je w ten sposób, że artyści wielu koszlawości poprawić nie mogli.

Przejdźmy do utworu Dumasa.

„Panna de „Belle-Isle“ należy do rzędu tych sztuk salonowych francuzkich, których całą wartość sceniczną stanowi żywość djalogu i zręczne zawikłanie intrygi. Nie chodzi tu bynajmniéj o głębsze studjum charakterów, — wystarczają pod tym względem zupełnie najogólniejsze zarysy, — nie chodzi bynajmniéj o prawdę, — przez setki nieprawdopodobieństw autor z zadziwiającą przesuwa się zwinnością, — chodzi tylko o zaciekawienie publiczności, o zatrzymanie i potęgowanie téj ciekawości aż do ostatnich scen sztuki. Utwory tego rodzaju przelotne tylko zyskują znaczenie, — powabne to, subtelne, woniejące jak kwiatek, ale z równą więdnieje szybkością, — sztuki te nie przejdą do potomności. Nie myślimy bynajmniéj zapuszczać się w obszerną ocenę „Panny de Belle-Isle“, — wskażémy tylko, jak słusznie ogólne nasze uwagi do tego zastósować możemy utworu. Intryga zasadza się na téj drobnéj z pozoru okoliczności, że książę Richelieu nie zna ręki margrabiny de Prie. Dowiadujemy się o tém mimochodem w drugiéj scenie aktu pierwszego, — mniéj uważny z widzów może z łatwością przesłyszeć te kilka najważniejszych w sztuce wyrazów, które brzmią tak niewinnie, jak tyle innych salonowych frazesów. Okoliczność ta jest czysto przypadkową, a zważywszy ścisły stosunek, w jakim książe pozostawał z margrabiną, nadzwyczaj nieprawdopodobną, — lada świstek zresztą pisany ręką margrabiny, zapomniany na stole salonu, może całą zniweczyć intrygę. — Drugą okolicznością, plątającą węzeł intrygi, jest — ciemność panująca w pokojach margrabiny, która nie pozwala księciu rozpoznać przedmiotu miłości. Książę przepędził, podług własnego zeznania, siedem godzin w pokoju margrabiny, — czyliż podobna przypuścić, aby nie miał był dostrzedz pomyłki? — Trzecim wreszcie faktem, na którym dalszy zasadza się rozwój, jest zbytnia sumienność panny de Belle-Isle, dla któréj w trzecim akcie wzbrania się złamać przysięgę. Złamanie to następuje w piątym akcie, — przynajmniéj częściowo. Pytamy, — dla czego ta zwłoka? Okoliczności nie zmieniły się w niczém. Wyjazd, którego groźbą d'Aubigny w piątym akcie zmusza ją do naruszenia przysięgi, jest koniecznym, naturalnym wynikiem zerwania małżeńskich projektów, strasznego podejrzenia, jakie ciąży na jego narzeczonéj. Czemże jest w obec hańby wyjazd kochanka, którego ufność pozyskać wszelka zniknęła nadzieja? Jeżeli panna de Belle-Isle w piątym akcie łamie przysięgę, dla czegoż nie złamała jéj w trzecim? Prawda! — akt czwarty i piąty nie mógłby w tym razie nastąpić. — Jakżeż nienaturalnym jest w ogóle cały ten skrupuł sumienia! Przyczyny złożonéj przysięgi wiadome są pannie de Belle-Isle, zwierzenie tajemnicy kawalerowi nie naraziłoby w niczém margrabiny, d'Aubigny zachowałby takową aż do upadku księcia de Bourbon, — któraż kobiéta byłaby dotrzymała przysięgi wśród takich okoliczności, — zagrożona utratą sławy i narzeczonego? — Autor na tych trzech nieprawdopodobieństwach zbudował całą swą sztukę, — brak prawdy dla tego jest główną jéj wadą. Słuchacz obawia się co chwila obojętnego zupełnie wypadku, który tę budowlę z kart rozrzuci, i dziwić się musi, że się to wszystko tak wybornie składa. — O wykończeniu charakterów nie może być mowy, — autor nadto zajęty biletami, drzwiami, kluczami, które główne całéj machiny kółka stanowią. Zresztą wyjąwszy kilku scen tragicznych, osoby działające nie wychodzą za obręb zwykłéj salonowéj komedji, — charaktery ich w tych bladych dla tego występują zarysach, jakie na dywanach salonów jedynie być mogą widoczne. — Przeprowadzenie intrygi bardzo zręczne w pierwszych trzech aktach, — w akcie czwartym i piątym mniéj już obudza ciekawości. Rozpoznanie pisma margrabiny, złamanie przysięgi ze strony panny de Belle-Isle, upadek księcia de Bourbon, — wszystko to są wypadki, które przewidzieć nie trudno. Pod tym względem panna de Belle-Isle nie może iść w porównanie ze Szklanką wody Scribego, która ciekawość słuchacza aż do ostatniéj chwili w najwyższém utrzymuje naprężeniu. Przedstawienie podobnych utworów nie wymaga zbyt wielkiéj pracy, — trzy są warunki, od których zależy powodzenie: przepych wystawy, żywość djalogu i należyte przejęcie się duchem salonów. — Wystawa sobotniego przedstawienia niewiele pozostawiła do życzenia; starania dyrekcji na zupełne pod tym względem zasługują uznanie, — radzibyśmy widzieć tylko drobne ulepszenia w utworach perukarzy teatralnych. — Drugiemu z warunków część męzka artystów niezupełnie odpowiedziała tym razem; w czwartym szczególnie akcie, niejednokrotnie raziło nas niedostateczne wyuczenie roli; — nawał pracy uniewinnia po części artystów. Trzeci warunek najtrudniejszym jest u nas do spełnienia. Nie możemy nieuznać postępów, pomimo to zaznaczyć nam wypada, że artystom naszym zbywa jeszcze na swobodzie i elegancji salonów, — artystki na wszelką pod tym względem zasługują pochwałę. — Zwracamy się do ocenienia ról pojedynczych. — Panna Kwiatyńska w roli tytułowéj przewyższyła nasze oczekiwania. W grze jéj wiele było kobiecéj miękkości, wiele rzewnéj, dziewiczéj poezji, — pomimo to postać ta, przeładowana niejako cnotą i niewinnością, nie była ckliwą, — panna Kwiatyńska ustrzegła się wszelkiej przesady, nadała kreacji swojéj prawdę i życie. Powierzchowność i talent panny Kwiatyńskiéj przeznacza ją do roli kochanki, — czy siły jéj wystarczą do ról tragicznych kochanek, o tém dzisiaj sądzić nie możemy. Sceny w akcie trzecim i piątym odegrane były starannie i bardzo korzy-

stne na widzach sprawiły wrażenie, ale nie upoważniają nas one do wydania stanowczego wyroku. Chcielibyśmy widzieć pannę Kwiatyńską w roli obszerniejszéj, aby sąd nasz dostatecznie uzasadnić. Obawiamy się przedewszystkiém o siłę jéj głosu. Zważając na stopniowanie, jakie koniecznêm jest w roli panny de Belle-Isle, panna Kwiatyńską oszczędzała głosu w pierwszym akcie, ale głos ten był wiele za cichym; potrzeba koniecznie spotęgować go w trzecim i piątym i stósownie do tego podnieść trochę w aktach poprzednich. — Pani Grabińska (Margrabina) wywiązała się tak dobrze z zadania, jak tego po tak zdolnéj i pracowitéj spodziewać się mogliśmy artystce. Jéj margrabina pełną była lekkiéj, wdzięcznéj kokieterji salonowéj. Z gry pana Grabińskiego (książę de Richelieu) niezupełnie jesteśmy zadowoleni, — pan Grabiński był nazbyt spokojnym — w ruchach jego i mowie zbyt było znudzenia, angielskiego spleenu, zbyt jednostajności, — książę powinien być żywym, trzpiotowatym młodzieńcem, w roku 1726 książę był przecież w kwiecie wieku, na szczycie swéj sławy. — Gry pana Moszyńskiego (d'Aubigné) zupełnie nie możemy pochwalać. Pan Moszyński grzeszył przedewszywstkiém niefortunną charakterystyką, — zdawał się być ojcem, nie kochankiem panny de Belle-Isle. Przytém mimika jego i ruchy, szczególnie w akcie trzecim i piątym, niekorzystne sprawiały wrażenie, pomimo widocznéj pracy i usiłowań artysty.

* * *

Wnastępnych dniach przypadają dwa benefisowe przedstawienia: wspólny dla panny Wandy Żeromskiéj i pana Józefa Bendy, którzy wybrali sobie tragedją Schillera „Zbójcy" i dla p. Molskiego, który wystawi dramat Leopolda hr. Starzeńskiego p. t.: „Bannita" z muzyką I. F. Guniewicza.

Życzymy obu tym benefisom jak najpożądańszego rezultatu.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE o RZECZACH POLSKICH.

Wyszły w Poznaniu:

— **Radońskiéj Teofili** „Krótka gramatyka polska" dla uczącéj się młodzieży w sposób łatwy i przystępny" —

— **Jana z Dobréj Woli** „Kolęda dla Zmartwychwstańców" na rok pański 1873, zawierająca treść i rozbiór „Szkoły o królestwie Bożem" P. W. Stefańskiego.

— **Leitgebera Jarosława** „Katalog książek polskich teologicznych i religijnych (1860—1872)."

* * *

— Pani **Władysławowa Miłkowska** przełożyła na język francuzki piękną powieść pani Elizy Orzeszkowéj p. n. „W klatce" i drukować ją zamierza w jednêm z czasopism francuzkich.

* * *

— W połowie marca r. b. wyjdzie u J. K. Żupańskiego dzieło p. n. „Fryderyk Chopin i utwory jego muzyczne, przyczynek do życiorysu i oceny dzieł artysty, napisał M. A. **Szulc**, nauczyciel wyższy przy gimn. król. ad St. Mar. Magd."

* * *

— Znany pod pseudonimem **Jeża** autor nasz **Zygmunt Miłkowski** pisze dzieło p. t. „Sprawa Polski w obec zadań ludzkościowych."

* * *

— Przy gazecie lwowskiéj zaczął wychodzić od Nowego Roku dodatek miesięczny p. t. „**Przewodnik naukowy i literacki**", pod redakcją Władysława Łozińskiego.

* * *

— Dr. **Antoni Kozubowski** wydał dziełko o jedwabnictwie, objaśnione drzeworytami, tablicami litografowanemi i chromolitografowanemi.

* * *

— W Rydze wydał p. **Dubicki** po rosyjsku broszurę pod tytułem: „**O Koperniku jako Sławianinie.**" W broszurze téj na zasadzie dokumentów i prac naukowych, w przedmiocie tym ogłoszonych, p. Dubicki oświadcza, że Kopernik bezspornie należy do polskiéj narodowości, i że Niemcy najniesłuszniéj przywłaszczyć go sobie usiłują. Uważa wreszcie za stosowne, aby wszyscy Sławianie przez Delegatów swych zebrali się w dniu 19 b. m. w Toruniu dla uczczenia nieśmiertelnego Polaka-Sławianina. (Dz. polski.).

* * *

— **Matejki** obraz **Kopernika** jest już na ukończeniu. W nocy, przy niebie gwiaździstém, oświetlony księżycowém światłem, Kopernik siedzi jakby na płaskim dachu czy balkonie, który służy za obserwatorjum. Zdumiony, zachwycony, podnosi głowę i obie ręce do góry. Nad balkonem wznosi się gotycki kościół we Frauenburgu. U nóg Kopernika duża latarnia rzucająca blask na dalszą część obrazu — górna oświetlona księżycem. — Matejko naszkicował także plan do nowego obrazu przedstawiającego bitwę pod Grunwaldem — będzie to znakomity pendent do Jaroczyńskiego „Traktatu Toruńskiego."

* * *

— Lwów zamierza obchodzić uroczyście jubileusz **Kopernika** i wysłać deputowanych swoich do Torunia na dzień 19 lutego.

* * *

— Numer 3 czasopisma niemieckiego „Magazin für die Litteratur des Auslandes" mieści w sobie poemat **Aleksandra Jung** p. n. „Die Sprachen der Völker", z którego przytaczamy w przekładzie następujące ustępy:

I do Polski przybyłem; poszedłem do Łazienkowskiego pałacu,
Byłem w Maciejowicach i w Białej — są to dźwięki czarujące,
Zda się, że to tancerze jacyś bujają na falach piękna,
To opadają, to znów się podnoszą, — przesuwają się jak duchy opiekuńcze.
Czy znajdziesz w świecie dźwięk łagodniejszy jak w nazwie sławiańskiéj Sandomierza?

Ostrołenka pełna wdzięku, skacze jak gazella i tuli się do ciebie —
Krzeszowiee — Bronisława!... to dźwięk, który uszom twoim —
Skoro tylko usłyszysz śpiewność tych imion — przypomina piękne oczy...

Zakończywszy swój przegląd języków na Polsce, szuka autor swéj strzechy rodzinnéj i swego ojczystego języka, w którym

.......słyszy, jak bije gorące serce Germanji,
A dopóki takie, pisze, serce bije w mojém łonie, dopóty nie ujarzmi je żadne obce.
A ilem podsłuchiwał języków, ilem w nich znajdował powabów,
Żaden z nich nie przewyższył języka niemieckiego ani w sile, ani w wdziękach!.....
....
Dla tego téż — kogo matka nauczyła po niemiecku, dzięki matce niech składa!

Pięknie to ze strony poety, że wyśpiewał cześć swéj mowie ojczystéj, — szkoda tylko, że ten wysławiony język Germanów chcą współziomkowie jego narzucić nam. Niech nam jednak pozwolą równém prawem powtórzyć z własnym ich poetą:

„A dopóki polskie serce bije w mojém łonie, dopóty nie ujarzmi je żadne obce!"

Skrzynka do listów.

— pp. W... w Ustrzykach i W... we Florencji: Książki wysłano.

— X. B... w O...: Nadesłane na ręce nasze 6 tal. na Album Kopernika wręczyliśmy p. Feldmanowskiemu, sekret. Tow. Przyjaciół Nauk Poznańskiego.

— Poszukuje Redakcja naszego pisma dzieła Jana Abramowicza p. n. „Zdanie Litwina o kupczy taniéj zboża i drogiéj sprzedaży", wydane roku 1595 — i prosi o wskazówki dotyczące wymienionego dzieła.

Niesłychana taniość!
14 książek za 2 tal. 15 sgr. zamiast 6 tal.

1) **Historja święta** Starego i Nowego Testamentu, 303 str. i **24 kol. obr.** z aprobacją władzy duchownéj. Cena sklepowa 2 tal. 2) **Przyjaciel Dzieci i Młodz.** z r. 1870. 160 str. i 100 rycin. 15 sgr. 3) Ten sam z r. 1871. 208 str. t 100 rycin. 20 sgr. 4) Tenże z r. 1872. 208 str. i 200 rycin. 1 tal. 5) **Dzieje Narodu Polskiego,** 63 obr. 202 str. 7½ sgr. 6) **Katolik,** 188 str. 73 obr. 18 sgr. 7) **Cudowny Lekarz,** 2 sgr. 8) **Łamigłówki,** 2 sgr. 9) **Powieści i Podania ludowe,** 128 str. 5 sgr. 10) **Wianek z Górnego Śląska,** 10 sgr. 11) **Sebastyan Klonowicz** przez Zacharyasiewicza. 5 sgr. 12) **Mała historja Polska.** 64 str. 2 sgr. 13) **Książeczka o zwierzętach** z 50 obr. 2 sgr. 14) **Powiastki i Bajki** dla dzieci z 15 obr. 2 sgr. Cena sklepowa tych książek wynosi 6 tal., dla biorących razem 2½ tal., a dla tych, co na rok 1872 zapisali lub zapiszą Przyj. Dzieci i Mł. **tylko 2 tal.** Dzieła te liczą około 200 arkuszy druku i mieszczą **500 rycin.** Za oprawę wszystkich książek w półpłótno dopłaca się 1 tal. 5 sgr., w półskórek 2 tal. 5 sgr. (109)

Józef Chociszewski. Poznań, Kozia ul. Nr. 10.

Epileptyczne kurcze
(wielką chorobę)
leczy **listownie** lekarz specjalny dla epilepsji **Dr. O. Killisch,** Berlin, Louisenstrasse 46. W téj chwili ma przeszło tysiąc pacjentów. (92)

Przyroda i Przemysł,
Tygodnik popularno-naukowy rozpoczyna rok drugi swego istnienia; — przedpłata kwartalna wynosi 2 rs.; — abonować można we wszystkich księgarniach. (108)

Piwowarnia Dominialna Czarnkowska
poleca wyborne
Piwo Czeskie
wyrabiane przez jednego z najlepszych piwowarów Czeskich, który będąc kilkanaście lat dyrygentem najsławniejszych Wiedeńskich i Czeskich piwowarni, obeznany jest najdokładniéj z tamtejszym sposobem warzenia piwa. Piwo Czarnkowskie nie ustępuje w niczém piwom wyrabianym w Czechach, jest smaczne, czyste i zdrowe, z najlepszego jęczmienia i chmielu robione, bez wszelkich dodatków, które, jak liczne dowody stwierdzają, nadzwyczaj są dla zdrowia szkodliwe.
Zamówienia przyjmuje niżéj podpisany Zarząd.

Cena beczki w miejscu tal. 7,
30 butelek tamże tal. 1.

Beczki, pudła z butelkami jako téż i butelki opatrzone są stemplem piwowarni, na co się uwagę Szanownéj Publiczności zwraca.
Czarnków w lutym 1873. (110)

Zarząd Piwowarni Dominialnéj w Czarnkowie.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.